



WOJTEK MIŁOSZEWSKI

KASTOR

To jest darmowy fragment powieści.

Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca

PROLOG

Sterany życiem tramwaj zaprotestował ze zgrzytem, skręcając z Basztowej w Długą. Kilka minut po piątej nad ranem wagon nie był zatłoczony, a nieliczni pasażerowie milczeli.

Prawdopodobnie rozmyślali nad swoim losem, nakazującym im zebrać się do roboty o tak niehumanitarnej porze. Stojący z tyłu mężczyzna ubrany był w sztruksowe spodnie, za dużą marynarkę w kratę i brązowe znoszone buty. Dobiegał czterdziestki, a jego bladą twarz z drobnym nosem okalały blond włosy, opadające w nieładzie do ramion. Balansował lekko na nogach, wciskając dłonie w kieszenie spodni. Nie trzymał się żadnego z uchwytów. Nie musiał, poruszał się krakowskimi tramwajami od trzydziestu lat i z perfekcyjną precyzją wiedział, w którym momencie obłe cielsko wykona kolejny zwrot lub bujnie się niebezpiecznie w bok.

Komisarz Kastor Grudziński wyskoczył zwinnie na Nowym Kleparzu, cofnął się trochę i po krótkiej chwili szedł wzdłuż muru okalającego Dom Pomocy Społecznej imienia Helców. Dwie bardzo mocne kawy, które wypił przed wyjściem, niestety nie przyniosły pożądanego efektu. Dosłownie milisekundy przed zapadnięciem w sen zawsze uruchamiał stoper. Nawyk spowodowany bezsennością, dręczącą go od szóstego roku życia. W ten sposób wiedział, że tej nocy przespał całe siedemnaście minut. Bardzo dobry wynik jak na niego, ale teraz czuł potworne zmęczenie, jeden z silnych kryzysów dopadających go w ciągu dnia.

Gdy dotarł do numeru siedemdziesiąt dziewięć i zauważył poloneza w biało-niebieskich barwach, od razu poczuł się lepiej. Wiedział, że jest tu po to, bo stało się coś złego, ktoś potrzebuje pomocy. On jest po tej dobrej stronie. Ta myśl zawsze dodawała mu sił w najtrudniejszych sytuacjach. W mieście ma być porządek.

Rozpoznał stojącego przy radiowozie policjanta, nie pamiętał jego nazwiska, ale wiedział, że jest sierżantem z podgórskiego komisariatu. Solidny i doświadczony glina. Dlatego zdziwił się wyrazem jego twarzy, bladej i lekko wystraszonej.

– Panie komisarzu, na dole – wychrypiał policjant. Kastor skinął niedbale głową i ruszył do wejścia. Mijając radiowóz, zauważył na drzwiach samochodu niebieską farbę w innym odcieniu, ślad po niedawnym malowaniu, zmieniającym milicję w policję. Wielomiesięczne rozmowy, wielkie przygotowania związków zawodowych. Wszystko tylko po to, żeby w końcu rzucić hasło, że od dzisiaj Policja to nowoczesność. Czyli co, ten rozklekotany polonez? Przynajmniej mundurowi mają samochody, nie muszą dymać na robotę tramwajem tak jak ja, pomyślał ze złością Kastor.

Wszedł na klatkę chylącej się ku upadkowi rudery. Szybko spostrzegł, że w kamienicy dawno wyłączono prąd, i szedł do piwnicy, świecąc sobie zapalniczką. Uderzenie smrodu było niczym cios brudną szmatą. Kombinacja potu, fekaliiów i moczu w takim stężeniu, że szybko zgasił zapalniczkę, kierowany absurdalnym strachem, że ta mieszanina gazów po prostu wybuchnie. Stojący na dole policjant oświetlał promieniem latarki brudne twarze około dwudziestu dzieci. Miały od pięciu do dwunastu lat, uniesione w górze rączki i spojrzenia wypełnione bólem i strachem. Kastor nie znał tego funkcjonariusza, prześlizgnął się tylko wzrokiem po jego pagonach i rzucił cicho:

– Sierżancie... Każcie im opuścić te ręce.

Policjant skinął głową i przekazał prośbę na migi, a wszystkie dzieci jak na komendę opuściły posłusznie ramiona.

– Wykręciliście po kredens? – spytał Kastor.

– Jasne.

Jakby na potwierdzenie tych słów z zewnątrz dobiegł charakterystyczny terkot. Policyjny star. Kastor wziął latarkę od sierżanta i po kolei zaczął świecić po twarzach dzieci mrużących oczy przed ostrym światłem. Wszystkie bez wyjątku miały ciemną karnację i komisarz wątpił, aby któreś pochodziło z Polski.

Potrzebowali tłumacza, ale po pierwsze, wiedział, że to trochę zajmie, a po drugie, nie chciał na razie z nimi rozmawiać. Szukał jakiegoś znaku, elementu lub wskazówki, a ten mógł dostać tylko od któregoś ze starszych dzieci. W końcu znalazł to na twarzy na oko jedenastoletniej dziewczynki z burzą ciemnych włosów ogarniętych wszawicą. Oddał latarkę policjantowi i powiedział:

– Zabieramy je do pogotowia opiekuńczego. Skończcie wodę, jedzenie, no i tłumacza.

– A skąd ja wezmę tłumacza? – spytał szczerze zdziwiony sierżant.

– Wykręć Gienia Jankowskiego z Mogilskiej. Powiesz mu, że potrzebujesz gościa, co się nazywa Santino Mirga.

– Mieszka w Podgórzu, zna rumuński i cygański. Dobra, zabieramy się stąd.

Słowa „zabieramy się stąd” Kastor podkreślił przystawionym palcem do ust, nakazując policjantowi milczenie, a ten od razu zrozumiał, że komisarz zostaje na miejscu. Funkcjonariusz wyprowadził dzieci, a Kastor stanął za jednym ze słupów podtrzymujących strop.

Stojąc w absolutnej ciszy, z zaskoczeniem skonstatował, że dość szybko przyzwyczaiał się do potwornego smrodu. Słyszał pokrzykiwania policjantów, trzask drzwi, zwiększone obroty silników i odjeżdżające samochody. Po kilku minutach w budynku i na zewnątrz zapanował spokój. Kastor ciągle miał w pamięci zezujące spojrzenie dziewczynki, dającej mu w ten sposób dyskretny znak. Czekał.

Powoli jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Zorientował się również, dlaczego na dole jest tak ciemno. Ktoś pozabijał niewielkie okienka u sufitu deskami, a przez te sporządzone w pośpiechu konstrukcje wpadały cienkie nitki światła, ryjąc korytarze w kurzu. A może to nie kurz, tylko po prostu gęsty smród, pomyślał komisarz i kątem oka zobaczył, jak jedna z ceglanych ścian rozsuwa się bezgłośnie. Powstały w ten sposób otwór był poza zasięgiem marnego źródła światła. Kastor nie widział wychodzącej postaci, ale niejako czuł jej obecność. Rzucił się w tamtym kierunku i wymierzył

kilka szybkich ciosów w miejsce, gdzie powinna być czyjaś twarz. Z zadowoleniem poczuł na swoich pięściach krew, chwycił tamtego za szyję i go obalił, a potem zręcznym, wytrenowanym gestem założył pobitemu kajdanki.

Kastor zerwał po kolei kiepskiej jakości szalunki z każdego z okien i piwnicę wypełnioną nieczystościami zaalało światło. Podeszedł i wymierzył leżącemu kilka solidnych kopniaków prosto w twarz. Mężczyzna jęknął głośno, smarkając krwią.

– Ile? – spytał ostrym tonem komisarz.

– Dwa i pół tysiąca marek za sztukę – odpowiedział schwytyany, wypluwając ząb.

Kastor szybko obszukał leżącego, wyciągając ze specjalnego pasa zwinięte banknoty. Przeliczył pieniądze. Miał przed sobą czterdzieści pięć tysięcy marek. Była to jego, komisarza wydziału kryminalnego, pięcioletnia pensja. Schował pieniądze, przesunął skutego mężczyznę w róg pomieszczenia, wycierając jego twarz o pokrytą odchodami posadzkę. Wyszedł na zewnątrz.

Na szczęście sierżant nie był idiotą i wyczuł jego intencje, czekał razem z kolegą przy radiowozie. Kastor szybko streścił im całą sytuację, po czym przekazał za pokwitowaniem zajęte pieniądze. Całe trzydzieści tysięcy marek.

ROZDZIAŁ I

PONIEDZIAŁEK, 4 CZERWCA 1990

1

Godzinę później Kastor wysiadł z tramwaju na Mogilskiej i ruszył w kierunku surowej bryły komendy wojewódzkiej. Z jednej strony, ten przystanek to była wygoda, a z drugiej przekleństwo. W okolicy nie było absolutnie nic innego, więc każdy lądujący tu pasażer był albo z policji, albo miał z nią zatarg. Nawet teraz przechodząc przez przejście, Kastor nie mógł być pewien, czy idąca baba z siatami była po prostu przechodniem. Może synek rozbojarz wysłał ją, aby przypatrzyła się panu komisarzowi na tyle, żeby potem jej pierworodny mógł stuknąć Kastora gazrurką w jednym z krakowskich zaułków.

Wbiegł po schodach na trzecie piętro, wszedł do pokoju i zasiadł za biurkiem pod oknem. Naprzeciwko jego stanowiska pracy znajdowało się jeszcze jedno biurko, a dalej w kącie nakryty lichym kocem, rozkładany fotel. Mebel ten powszechnie w Polsce nazywano amerykanką. Nie wiadomo, czy miało mu to nadać jakiś status luksusu, bo w rzeczywistości było to wyjątkowo gówniane posłanie. Dodatkowo w pomieszczeniu w kącie przy drzwiach stało trzecie biurko, a po drugiej stronie okazałych rozmiarów szafa, obok której wciśnięto umywalkę z przytwierdzonym do ściany, wyszczerbionym lustrem. Kastor dokończył robotę papierkową dotyczącą porannych wydarzeń.

Punkt o godzinie siódmej w pokoju sekcji kryminalnej, której Kastor był dowódcą, zjawił się aspirant Eugeniusz Jankowski, zwany przez wszystkich po prostu Gieniem. Wiecznie ulizany, zawsze gruby i od zarania dziejów powolnie myślący.

– Serwus Kastor! – Aspirant myślał, że to powitanie odejmuje mu lat, a było wręcz odwrotnie.

– Cześć.

Gieniu zdjął buty i założył drewniane chodaki. Ze względu na pokaźną tuszę narzekał na puchnące nogi i po komendzie poruszał się tylko w tym obuwiu. Jakby tego było mało, nie był za pan brat z obowiązującą modą i nosił za długie spodnie, które zawijał i wciskał w skarpety, upodabniając się do Holendra w stroju ludowym.

Nagle rozległo się mocne, energiczne pukanie do drzwi, ale ani Gieniu, ani Kastor nie raczyli na nie zareagować. Lata doświadczenia sprawiły, że doskonale znali zasady. Jeśli ktoś ma do nich naprawdę ważną sprawę, to wchodzi bez pukania. Gieniu zasiadł przy swoim biurku przy drzwiach i zatarł ręce z zadowoleniem.

– Za trzy dni jadę na urlop! Nareszcie!

Kastor nie pytał, dokąd jedzie, bo wszyscy wiedzieli o największym hobby wiekowego aspiranta. W kasynie na dole komendy wojewódzkiej regularnie urządzano imprezy, choć niewątpliwie uczciwszym słowem byłaby tu „libacja”. Po hektolitrach gorzały wszyscy opowiadali o bandziorach, których złapali, i o kobietach, które przelecieli. Tylko Gieniu z zamglonym wzrokiem perorował o zaletach łapania na błysk, twardości wędek i waleczności okonia.

Pukanie powtórzyło się i Gieniu wraz z Kastorem wrócili do pracy. Ten pierwszy zaczął wypełniać dokumenty powoli i z rozmysłem, starannie kaligrafując litery. Nigdy nie nauczył się korzystać z maszyny do pisania, traktował ją jak szatański wynalazek. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł na czworakach sierżant Robert Kwiecień. Kwiatek, bo tak

był nazywany przez kolegów, kompletnie nawalony, bełkocząc coś niezrozumiale, z trudem przemknął na czterech kończynach po wytartych klepkach parkietu i zaległ bez życia na rozłożonej amerykance.

Do środka wślizgnął się młody mężczyzna, który najpewniej pukał wcześniej, a teraz postanowił skorzystać z otwartych drzwi. Obserwował z lekkim niepokojem, jak Gieniu wstaje, przykrywa Kwiatka kocem z matczyną czułością, a potem wytrenowanym gestem wysuwa nogą emaliowaną miednicę spod amerykanki. Gieniu wrócił za biurko, a kiedy przybyły gość zorientował się, że nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, odchrząknął delikatnie i powiedział:

– Młodszy aspirant Cezary Hewig melduje się na rozkaz!

– O rany, bracie. Toś ty do nas z wojska przyjechał? – spytał Gieniu, odwracając się z zaciekawieniem.

Kastor uniósł głowę i przyjrzał się chłopakowi. Miał na oko jakieś dwadzieścia pięć lat, ładny, ale nie przystojny. Jego ciuchy sprawiały wrażenie wyjątkowo drogich i markowych. Widok bardzo nieczęsty w 1990 roku w Krakowie, kiedy to większość przechodniów wyglądała jakby korzystała z darów pomocowych przeznaczonych dla Afryki Środkowej. Komisarz zwrócił uwagę na trzymane przez Hewiga dokumenty i powiedział:

– Pokaż no te kwity.

Mężczyzna ruszył przez pokój, ale w tym samym momencie śpiący Kwiatek wierzgnął niespokojnie, a spod koca wysunęła się jego służbowa broń i spadła z brzdękiem do miednicy. Chcąc pomóc, Hewig rzucił się usłużnie w kierunku pistoletu, ale w tej samej chwili sierżant Kwiecień zerwał się z posłania, chwycił zgubę i wycelował prosto w twarz młodego mężczyzny. Kastor i Gieniu zerwali się na równe nogi jak rażeni prądem.

– Kwiatek, uspokój się! Żelazo samo ci wypadło! – komisarz próbował opanować emocje.

– Robcio, pan chciał tylko pomóc. Połóż się, no, już.

Gieniu podszedł i ułożył z powrotem Kwiatka, tym razem

dbając o to, aby broń spoczęła bezpiecznie w dokładnie zamkniętej kaburze. Hewig, kompletnie błądzący z przerażenia, podszedł do komisarza i podał mu dokumenty drżącą ręką.

– Co to? Masz pracować w mojej sekcji?

– Tak jest, to dla mnie prawdziwy zaszczyt!

– Chłopie, ale co ty umiesz? – Kastor nawet nie próbował kryć wesołości.

– Panie komisarzu, jestem po szkole referentów operacyjno-dochodzeniowych w Pile!

– Gieniu, podpisz się tutaj panu.

– A o co chodzi? – zainteresował się aspirant.

– Szkołę skończył.

– Służę uprzejmie.

Gieniu chwycił za swój długopis i nabazgrał coś na odwrocie dokumentów, wręczając potem kartkę z uśmiechem Hewigowi, a ten mocno zdziwiony odczytał dedykację:

„Życzę dalszych sukcesów w nauce”. Pod napisem widniało duże serce z imieniem autora.

– No, ale...

Mężczyzna wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć, a jego starania przerwał głośny chlust. To Kwiatek wymiotował do miski stojącej na podłodze. Gdy przestał, Gieniu zgarnął miednicę i wylał zawartość do umywalki, po czym wypłukał naczynie.

– Jasna cholera! Kiełbasy się jakiejś nażarł czy jak. Nie chce spłynąć.

Gieniu chwycił za przepychaczkę i zaczął walczyć z rurami, a Kastor uznał, że młodemu policjantowi starczy już tych atrakcji.

– Czarek, słuchaj. – Komisarz wstał i objął ramieniem Hewiga, prowadząc go do wyjścia. – Mam dla ciebie trzy słowa, które dodadzą ci otuchy. Kompania ruchu drogowego!

– Co?

– Porobisz ze trzy lata, to dwa domy pobudujesz. Teraz ludzie mają auta coraz nowsze, każdy lubi przycisnąć, a mandatów

to sam rozumiesz, nie lubi nikt. W jednym domu zamieszkasz z narzeczoną, a drugi sobie wynajmiesz. Ba, jak porobisz jeszcze parę lat, to kupisz sobie mieszkanko gdzieś w centrum i do końca życia nic nie musisz robić.

– Ale ja chciałem z panem komisarzem pracować! – Czarek próbował protestować.

– Bardzo mi miło, ale rozumiesz, ja mam wrażliwą, bladą skórę i nie mogę w słońcu z suszarą wystawać.

– Nie no, w sensie tu, w kryminałach...

– Jasne, jasne. Strasznie ci dziękuję za wizytę.

Kastor wypchnął Czarka na korytarz i zamknął drzwi. Gieniu uporał się ze zlewem, odstawił na miejsce miednicę i po chwili obaj z komisarzem wrócili do pracy przy akompaniamencie cichego pochrapywania leżącego w kącie sierżanta.

Idylla nie trwała długo, bo już po kilku minutach do środka wszedł nadkomisarz Krzysztof Tyszowiecki. Szczupły mężczyzna przed sześćdziesiątką nosił okulary w drucianych oprawkach i bujną brodę, a rzadkie i siwe włosy wiązał w niewielki kucyk. Zdecydowanie bardziej pasował na zwariowanego profesora socjologii niż naczelnika wydziału kryminalnego.

– Gdzie ten nowy? – zagaił Tyszowiecki.

– Zrezygnował. – Kastor nie przerywał pisania na maszynie.

– Co? Niemożliwe! W mordę, tyle razy prosiłem, otwierajcie tu okno. Śmierdzi rzygami.

Nadkomisarz otworzył okno, wyciągnął papierosy i po chwili pokój wypełnił się dymem.

– Kastor, ja cię bardzo proszę. Narzekasz od ponad roku, że nie masz ludzi, i teraz spuściłeś tego młodego na drzewo?

– Tyszol, jakbym chciał zostać pedagogiem, tobym się przyczaił w podstawówce. Nie mam czasu na takie bzdety.

– Ma samochód.

– Pierdolisz!

Komisarz szczerze się zainteresował. Problemy z mobilnością od dawna trawiły ich sekcję. Aut było jak na lekarstwo,

a te i tak ciągle się psuły. Jeśli nawet peerelowska milicja nie była jakoś specjalnie wyposażona, to teraz, w wyniku przeprowadzanych reform, było o wiele gorzej.

– Popatrz.

Kastor wychylił się przez okno i spojrzał na parking. Zdezorientowany Czarek stał i palił papierosa przy lśniącym, czarnym audi quattro.

– Przecież to złodziejska fura!

– Spokojnie, dzieciak jest po prostu z bogatej rodziny.

– Czekaj, czekaj. Hewig... – Komisarz zmarszczył brwi. – To nie są ci, co to matka, babka, skrzypaczka, poeci i w ogóle rodzina tak bardzo „krakoska”, że wachają własne pierdy?

– Zgadza się.

– To czego on tu chce?

– Tego samego co ty, łapać bandziorów.

– Bez jaj! – prychnął komisarz. – Co ty, pod siusiu mnie bierzesz?

– Kastor, jakby chłopak był miękką fają robiony, tobym ci go nie podsyłał. Masz ze mną złe układy?

– Przecież wiesz, że jakby mi szefa zmienili, to pierwsze co, jadę na tandetę kupić mocny sznur.

– Proszę cię, przemyśl temat.

Nadkomisarz zdusił papierosa w doniczce, machnął ręką na pożegnanie i wyszedł bez słowa.

Cezary Hewig, kompletnie zdezorientowany, wszedł do samochodu, włożył kluczyki do stacyjki i zaczął się zastanawiać, co teraz powinien zrobić. Jego rozważania przerwało otwarcie drzwi od strony pasażera. Kastor usiadł na fotelu obok.

– Kręć rozrusznik. Podrzuć mi do sądów.

Czarek odpalił samochód i wyjechał powoli na Mogilską. Komisarz patrzył zafascynowany na nowoczesną deskę rozdzielczą.

– Który to rocznik?

- Chodzi o samochód? No, ten.
- W sensie 1990? Ja pierdzielę. Ma klimatyzację?
- Pewnie. – Czarek wzruszył ramionami.
- Pokaż, jak to działa.

Hewig posłusznie zamknął szyby i uruchomił klimatyzację, a Kastor przyłożył rękę do kratki wentylacji, zdziwiony temperaturą wiejącego powietrza. Czarek zawrócił na skrzyżowaniu z Meissnera i rozpedził szybko audi, ruszając na wschód.

- Słyszałem, że chcesz łapać zbójów?
- Zgadza się.
- A jak będziesz to robił?
- Mieliśmy zajęcia przecież. Na przykład raz na wykładach w Pile...

– Młody, jeszcze raz mi wyjedziesz z tą szkołą z miasta o bzdurnej nazwie, to się nie dogadamy! Co chcesz robić?

Czarek zatrzymał audi na czerwonym, wyraźnie myśląc nad odpowiedzią. W końcu wydusił:

- Chcę się nauczyć, jak łapać bandziorów.
- Widzę, że szybko łapiesz. Słuchaj, temat jest następujący, przyjmuję cię do sekcji, ale generalnie jesteś pod moją kuratelą i robisz to, co ci powiem. Żadnej inwencji twórczej, żadnych pomysłów. Rozumiemy się?
- Jasne – przytaknął Czarek.
- Użyczasz samochodu komendzie wojewódzkiej policji, dostaniesz kasę za każdy przejechany kilometr.
- Dużo?

Kastor roześmiał się tak gwałtownie, że jego długie blond włosy zsunęły mu się na twarz. Musiał je odgarnąć, żeby powiedzieć:

– Masz poczucie humoru. To dobrze. Element niezbędny w tej robocie.

Czarek wjechał na rondo Mogilskie i okrążył olbrzymią połąć trawnika, otoczoną szynami tramwajowego torowiska, a następnie skręcił w Przy Rondzie.

– Niech pan mi powie. Dlaczego nagle zrobiło się tyle bandytyzmu?

– Kastor jestem, a ty dla wszystkich będziesz Czarek. Nie wiem. A ty masz jakieś przemyślenia?

– Może przez ten, no... kapitalizm?

Komisarz uśmiechnął się pod nosem, pokazał Hewigowi ręką, gdzie ma stanąć, i audi zatrzymało się przed jednym z szarych budynków.

– Myślę, że powód jest o wiele prostszy, choć może faktycznie nowy ustrój stoi u podstaw tego syfu. Ludzie prowadzą interesy, bogacą się. Jest coraz więcej osób przy forsie, tym samym coraz więcej złodziei i rozbojarzy jest w stanie się pożywić. Kiedyś miałeś kilku badylarzy na krzyż i koniec!

– A dlaczego policja gorzej działa?

– Jak to gorzej? – zdziwił się Kastor.

– W sensie od milicji.

– Tłumaczę ci, inna skala bandytyzmu. Jest ich więcej do ogarnięcia, a my nie mamy za bardzo kasy. Ten twój samochód spada nam z nieba. Poza tym za komuny wszyscy prawdziwi bandyci chodzili na esbeckich teczkach i był porządek.

Komisarz wysiadł z samochodu i nachylił się w otwartych drzwiach.

– Pojedziesz z powrotem na Mogilską. Chłopaki z garażów zakamuflują ci tu radio. Potem zostaw audi na parkingu, kluczyki w schowku.

– Co!?

– Teraz to jest mienie państwowe. Aha, no i ubierz się jutro normalnie, załóż jakąś marynarkę czy coś.

– Panie komisarzu... To znaczy Kastor. Nie przyjąłeś mnie tylko dlatego, że mam samochód?

– Jeszcze będzie z ciebie dobry detektyw. Cześć!

Kastor zatrzaskał drzwi i po chwili zniknął w budynku sądu.

Bez trudu przemierzył gąszcz korytarzy i odnalazł drzwi prowadzące do właściwego gabinetu. Zapukał niedbale i wszedł do środka. Za biurkiem zawalonym tomami akt siedział sędzia Roman Kałuża. Miał ciepłe, radosne spojrzenie i siwą fryzurę z przedziałkiem pośrodku, której niejako kontynuacją były jasne krzaczaste brwi. Dobrotliwy wygląd starszego pana zmylił już niejednego.

Kałuża był strasznym skurwysynem.

– Dzień dobry, panie sędzio. Komisarz Kastor Grudziński, mam do pana jedną sprawę.

– Skarbek – sędzia znany był z tego nietypowego zwrotu – jestem strasznie zajęty.

– Dosłownie pół minuty. Rano zatrzymaliśmy osiemnastoro rumuńskich dzieci. Wszystkie miały iść na handel do burdeli w Reichu.

– Tak? – Kałuża okazywał kompletny brak zainteresowania.

– Chodzi o to, że jak my je odeślemy z powrotem do Rumunii, to znowu zorganizują przerzut. Tym razem będą się pilnować i dzieciaki trafią na zachód, gdzie będą dymane przez Helmuta w szelkach.

– Oczywiście. Ale w czym problem?

– Najlepiej będzie, jeśli sąd powierzy opiekę nad dziećmi jednej z organizacji pozarządowej. Ja wskażę nazwę.

– Chce pan, żeby te dzieci zostały w Polsce?

– Skąd! – zaprotestował Kastor. – Mam tam znajomą, kierują dzieci do ośrodków w Skandynawii. Rozumie pan, państwo polskie nie będzie miało kosztów, a dzieci w perspektywie naturalizację w Danii lub Norwegii.

Sędzia Roman Kałuża rozdziawił usta w niemym zdziwieniu, a gdy doszedł już do siebie, powiedział:

– Ale przecież to jebane rumuny. Po co im tak dogadzać?

Kastor sięgnął pod koszulę, wyciągnął zza spodni pliki banknotów i położył je na tomach akt.

– Piętnaście tysięcy marek.

Pieniądze, które najpierw były pod ubraniem przemysłnika, a resztę czasu za koszulą komisarza, były przesiąknięte potem, i co tu dużo mówić, po prostu śmierdziały. Sędzia chwycił je bez śladu obrzydzenia i schował wyćwiczonym gestem do szuflady.

– Będzie tak, jak pan komisarz sobie życzy. Proszę do mnie jutro zadzwonić i podać nazwę tej organizacji.

Kastor kiwnął głową i odwrócił się w kierunku drzwi. Gdy trzymał już rękę na klamce uznał, że po tym, jak już dał gigantyczną łapówkę, może sobie pozwolić na kilka słów prawdy.

– Aha, jeszcze jedno. Straszny z pana skurwysyn.

– Skarbek, to nie ja. To życie.

2

O drugiej po południu nadszedł silny kryzys. Kastor wlał w siebie dwie kolejne kawy, ale teraz, przechadzając się nerwowo po ulicy, był bliski omdlenia. Wiedział, że zgodnie z zaleceniami lekarzy powinien dbać o regularne spożywanie posiłków, ale był w takim stanie, że nie mógł absolutnie nic przełknąć. Dodatkowo jego trudności ze snem zawsze potęgowane były przez stres. Znowu zawrócił i po raz chyba dwudziesty przeszedł wzdłuż tego samego fragmentu alei Puszkina, patrząc z zazdrością na roześmianych ludzi wypoczywających na Błoniach. W końcu wziął głęboki oddech, podszedł do jednej z willi, pokonał kilka niskich stopni i pchnął drzwi z napisem „Biuro Matrymonialne Ingrid. Łączymy ludzi od 1975 roku”.

Wewnątrz unosił się ostry zapach pasty do podłogi, a parokiet lśnił niczym lustro, odbijające palmy w donicach oraz dwie przepastne kanapy obite czerwonym pluszem. Te dwa ostatnie meble były w kształcie dwóch połówek serca. Otwierające się drzwi uruchomiły wcześniej dzwonek i już po chwili usłyszał stukot obcasów na schodach. Na dół zeszła elegancko ubrana

pani po sześćdziesiątce. Srebrne włosy miała upięte w kok, a na nosie okulary na łańcuszku.

– Dzień dobry panu. – Uniosła dłoń tak wysoko, że komisarz nie miał wyboru i musiał ją ucałować. – Barbara Derko, właścicielka. W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, Kastor Grudziński. Rozmawialiśmy wcześniej przez telefon...

– Ach, stróż prawa. Jakże romantycznie. Oczywiście, proszę usiąść i poczekać, zaraz przyniosę formularz.

Starsza pani poprowadziła Kastora do jednej z kanap, wskazując na miętowe cukierki w kryształowej miseczce.

– Przy okazji, proszę się poczęstować miętusem. Gwarantuję, że nigdy pan takich nie jadł.

Komisarz usiadł posłusznie i poczekał, aż Derko wróciła z sąsiedniego pomieszczenia, kładąc przed nim stosik kartek.

– Proszę wszystko wypełnić czytelnie drukowanymi literami. Niech pan się nie spieszy i wszystko na spokojnie przemyśli. Ja czekam u siebie w gabinecie.

– Dziękuję.

Barbara Derko zniknęła w drugim pomieszczeniu, zostawiając uchylone drzwi, a Kastor zabrał się do wypełniania ankiety. Wzrost, kolor oczu, kolor włosów, upodobania kulinarne. Czy posiada Pani/Pan dzieci? Czy chciałaby Pani/Pan założyć rodzinę? Wypełniając kolejne rubryki, komisarz poczuł, że chyba jeszcze nigdy wcześniej nie był w tak bardzo niewłaściwym miejscu. Był krakowskim gliniarzem z czterdziestką na karku i pistoletem w kaburze, który uwierał go teraz, gdy opierał się o obitą czerwonym pluszem kanapę. Co ja tu robię? Spadaj stąd człowieku, i to szybko, odezwał się jakiś wewnętrzny głos w jego głowie. Jedź do domu, może uda ci się zdrzemnąć. Kastor podjął decyzję, ale jego plany niweczyła właścicielka biura. Dystyngowana dama siedziała za biurkiem w swoim gabinecie, ale od czasu do czasu zerknęła na policjanta przez uchylone drzwi. Tydzień temu gonileś złodzieja po dachach kazimierzowskich

runder, a teraz boisz się starej baby? Żałosne, zaczął wyrzucać sobie w myślach. Mimo wszystko trochę głupio mu było tak zrejterować, dlatego chcąc nie chcąc, wypełniał kolejne rubryki.

Po niecałych trzech minutach obrzucił spojrzeniem gabinet i spostrzegł, że starsza pani opuściła swoje stanowisko. Odłożył ostrożnie długopis, wstał i ruszył do wyjścia, stąpając ostrożnie po parkiecie i modląc się, aby klepki podłogowe go nie zdradziły. Gdy tylko położył rękę na klamce i poczuł, że ktoś stoi obok niego, drgnął lekko ze zdziwienia.

– Czy pan przyjechał może do nas z Anglii?

– Proszę? Nie bardzo rozumiem. – Starał się z całych sił uśmiechnąć jak najszerzej.

– Z tego co mi wiadomo, to właśnie Anglosasi mają w zwyczaju opuszczać w ten sposób domostwa. U nas w Krakowie panują inne zwyczaje.

– Najmocniej przepraszam za zawracanie głowy. – Kastor postanowił być szczery. – Ale to chyba nie dla mnie, cały ten interes...

– Interes? – Właścicielka podniosła nieco głos.

– Wie pani, ja to wypełnię, potem dostanę katalog ze zdjęciami, żeby coś wybrać. Źle się z tym czuję.

– „Coś” wybrać? Czy szanownemu panu się wydaje, że jest w burdelu i dostanie zdjęcia kurew w wyuzdanych pozach?

Kastor nie zdołał opanować odruchu zdziwienia i otworzył usta niczym trzylatek. O ile pierwsze nie wybredne słowo wywarło na nim wrażenie, o tyle ostatni wulgaryzm w ustach tej leciwej damy do głębi nim wstrząsnął.

– Pani mnie źle rozumiała. Ja nigdy bym nic takiego... Najmocniej przepraszam!

– Przeprosiny przyjęte. – Barbara Derko zdjęła okulary i zmrużyła oczy. – A teraz proszę wypełnić do końca formularz.

– Naprawdę, nie chcę robić kłopotu. Wydaje mi się, że nie dość, że sprawiłem pani przykrość, to jeszcze nadużywam gościnności.

– Po co pan tu przyszedł? Czego pan szuka?

Kastor Grudziński, policjant wydziału kryminalnego z osiemnastoletnim stażem na służbie, zaczął się pocić. Co miał powiedzieć, aby znowu nie zostać posądzonym o traktowanie biura matrymonialnego jak agencji towarzyskiej? Przełknął ślinę, przymknął oczy i powiedział:

– Miłości.

– Otóż to! – krzyknęła starsza pani z triumfem. – Długo pan jeszcze zamierza uciekać? Bronić się przed tym najwspanialszym w świecie uczuciem?

– Cierpię na bezsenność. Jestem strasznie zmęczony... – Kastor bronił się nieporadnie jak uczeń.

– Bzdura! Nie chcę słuchać takich naiwnych wymówek. Myślę, że wie pan, co powinien teraz zrobić.

Wiedział. Komisarz wrócił na pluszową połówkę serca i ponownie zaczął wypełniać formularz. Poczęstował się też miętusem.

3

Wysiadł przystanek wcześniej przed komendą na Mogińskiej. Stwierdził, że spacer dobrze mu robi, a poza tym musiał kupić lekarstwa dla Kwiatka. Cieszył się, że jest już po wizycie w biurze matrymonialnym. Po wypełnieniu ankiety musiał czekać dobrą godzinę, aż właścicielka ją przeczyta, a potem dopasuje najodpowiedniejszą, jej zdaniem, osobę dla komisarza. Podała wszystkie szczegóły jutrzejszego spotkania i jeszcze miała się odezwać, żeby potwierdzić, że tamta kobieta również się zgadza. Niepotrzebnie. Kastor nie miał zamiaru iść na żadną randkę.

Wszedł na chwilę do spożywczego i kupił pół litra wyborowej i dwa okocimy full light. Było już po ósmej i nadchodziła najlepsza dla komisarza pora dnia. Od wieczora aż do późnych

godzin nocnych praktycznie nie dopadały go żadne kryzysy przepełnione zmęczeniem. Teraz mógł funkcjonować właściwie bez zarzutu, zachowując trzeźwy i analityczny umysł. Dlatego zawsze żał było mu poświęcać ten czas na odpoczynek w domu. Przeszedł przez ulicę, odnalazł audi na policyjnym parkingu i wsiadł do środka. Otworzył schowek na rękawiczki, wyciągnął kluczyki i uruchomił radio zainstalowane wcześniej przez policyjnych techników. Wcisnął guzik na gruszce i powiedział:

– Zero zero dla zero siedem.

Zero siedem było od zawsze numerem przypisanym Kastorowi. Uwielbiał serial z porucznikiem Borewiczem. Uważał, że był to jeden z lepiej zrealizowanych seriali kryminalnych w historii polskiej telewizji. Rzecz jasna, jako policjant zdawał sobie sprawę z wszelkich nieścisłości, ale te detale nie psuły mu przyjemności z oglądania.

– Zgłaszam zero zero, słucham cię – usłyszał zniekształcony głos oficera dyżurnego.

– Cześć, Klakier. Chciałem tylko sprawdzić radio, co tym samym chyba się powiodło.

– Jasna sprawa, udanego wieczoru, panie komisarzu. Bez odbioru.

Wyłączył radio, zamknął samochód i po dwóch minutach był już w swoim pokoju. Otworzył okno, zerknął na stojącą przed rozkładanym fotelem miednicę i z zadowoleniem stwierdził, że była czysta. Potem ściągnął koc ze śpiącego sierżanta Kwietnia. Policjant przekręcił się na bok, mamrocząc coś niezrozumiale, a Kastor poczuł ostry zapach potu i brudu, kojarzący się nieodłącznie z bezdomnymi okupującymi krakowskie Planty.

Komisarz złożył koc w elegancką kostkę, przyłożył butelkę do wyszczerbionego rogu biurka i uderzając nasadą dłoni, otworzył ją. Kapsel potoczył się z brzdękiem po podłodze, a na ten sygnał Kwiatek usiadł na łóżku. Chwycił butelkę z piwem

i wlał naraz do gardła, pochłaniając zawartość w dwie sekundy. Następnie odebrał podaną półlitrowkę wyborowej i przytknął ją sobie do ust. Tym razem pił bardzo powoli, oddychając ciężko przez nos, niczym niemowlak pijący mleko przez smoczek. Gdy wypił całą wódkę, wstał z łóżka, przytrzymując się ściany. Sierżant Kwiecień przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy. Pomięte spodnie i koszula, włosy pozlepiane potem oraz szara, wyniszczona twarz wieloletniego alkoholika.

Kwiatek wyszedł z pokoju krokiem paralityka, a komisarz usiadł za biurkiem, podnosząc słuchawkę dzwoniącego telefonu.

– Kastor.

– Dobry wieczór, panie komisarzu – usłyszał głos oficera dyżurnego, z którym kilka minut wcześniej rozmawiał przez radio w samochodzie. – Chyba mamy zaginięcie.

– Chyba?

– Mąż tej pani, co dzwoniła, miał już być w domu, a ciągle go nie ma.

– Kiedy miał być? Tydzień temu?

Ponieważ po drugiej stronie zapadła cisza, Kastor spojrzał nieufnie na słuchawkę i stuknął w nią kilka razy.

– Klakier, jesteś tam?

– Jasne, panie komisarzu. – Mężczyzna odchrząknął delikatnie. – No więc ten pan miał być w domu o dziewiętnastej.

Kastor zerknął na zegarek i otworzył usta, gdy usłyszał gorączkowe słowa oficera dyżurnego:

– Panie komisarzu, ja wszystko wiem! Zerka pan teraz na zegarek i szykuje się, żeby mi różnych chujów i kurew nawsadzać.

– Masz rację – zgodził się Kastor. – I to mnie trochę zmar-twiło. Czy ja mam u nas opinię chama i buraka?

– Nie, tylko nie lubi pan głupoty i ja to rozumiem. Spuścił-bym tę babę na drzewo, ale ten adres...

– Jaki?

– Wola Justowska. Pani powiedziała, że zna wszystkich z Wiejskiej i jak się tym nie zajmujemy, to ona sama nam kupi

po łóżku polowym, żebyśmy mieli gdzie sznurówkami handlować.

Znak czasów, pomyślał Komisarz. Jeszcze rok temu wyśmiałbym kogoś takiego i przy okazji wysłał jej radiowóz, żeby jeździł całą noc na sygnałach wokół domu. Ale teraz wiele rzeczy się zmieniło. Gdy tylko milicja przekształciła się w policję, całkiem zmieniło się nastawienie społeczeństwa do tej formacji. Ze strachu w czystą pogardę i roszczeniowość. „Teraz to wy jesteście dla nas, morda w kubek!”, słyszeli ciągle, co dla oddanych funkcjonariuszy było zawsze bolesne, bo oni po prostu łapali przestępców, niezależnie od ustroju.

Kastor zapisał adres na kartce i obiecał zająć się sprawą. Jeśli pani mieszkała tam, gdzie mieszkała, to była bogata. A ktoś, kto posiadał majątek w 1990 roku w Krakowie, mógł naprawdę dużo. Kwiatek wrócił do pokoju ubrany w nienaganny, dwurzędowy garnitur w prążki, błękitną koszulę i czerwony krawat typu śledź. Na nogach miał modne mokasy z frędzelkami, był gładko ogolony, a jego lśniąco czarne włosy były zaczesane do tyłu na wzór dawnych amantów filmowych. W pomieszczeniu uniosła się woń eleganckich perfum. Nuty pomelo i berbersy, połączone z ziarnami kakaowca.

Sierżant wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki srebrną papierośnicę i wetknął papierosa do lufki. Usiadł na krześle, zakładając nogę na nogę, i otworzył drugie okocimie. Nikt nie wiedział, jak się Kwiatkowi ta sztuka udawała, ale zawsze pod wieczór przechodził przemianę, stając się eleganckim i przystojnym policjantem, gotowym do wytężonej pracy. Komisarz patrzył na to z podziwem, uznając, że sierżant Kwiecień kompletnie nie pasował do tego lichego pokoju na Mogińskiej. Najbardziej odpowiednią scenerią dla tej postaci byłby statek wycieczkowy po jeziorze Como.

– Mamy zaginięcie. Gościu powinien być w chacie półtorej godziny temu.

– Ktoś znaczny? – Kwiatek szybko zrozumiał sytuację.

– Tego jeszcze nie wiemy. Bogaty na pewno. Zbieraj się, wypijesz po drodze.

Sierżant Kwiecień uporał się z piwem szybciej i na parkingu wyrzucił pustą butelkę do kosza. Po chwili obaj siedzieli w samochodzie, a Kastor pędził Mogilską w kierunku ronda.

– Jaki adres? – spytał Kwiatek.

– Aleja Kasztanowa sto jeden.

– Bardzo ładna okolica. Kiedyś planowałem tam zamieszkać z Beatą i dziećmi.

Kwiatek spojrzał rozmarzonym wzrokiem za okno. Nad jego barłogiem w pokoju komendy wisiała tablica korkowa, a na niej przypięte zdjęcia byłej żony oraz dwóch córek. Na fotografiach są ledwie małymi szkrabami, ale teraz musieli już wkraczać w dorosłość.

– Bardzo za nimi tęsknię. Każdego dnia.

Kiedy był w swojej wieczornej formie, sierżant Kwiecień nigdy nie przeklinał, a formułowane zdania były nienaganne niczym jego garderoba. Ale łatwo wpadał w melancholijny nastrój. Kastor doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jego kolega żyje złudzeniem, a nostalgię wywołuje tylko i wyłącznie poczucie winy. Kwiatek, jak każdy alkoholik, był wręcz skrajnym egoistą, którego myśli zaprzętała jedynie własna osoba. Ale Kastor nie zamierzał go wyprowadzać z błędu. Bo i po co?

Komisarz skręcił energicznie kierownicą. Mijali teraz błonia po prawej stronie, a Kastor mimowolnie zerknął na siedzibę Agencji Matrymonialnej Ingrid. Samochód przyspieszył gwałtownie, a opony zapiszczały na suchej nawierzchni.

– Zaraz, czekaj! – Sierżant rozejrzał się ze zdziwieniem po wnętrzu auta. – Skąd my mamy taki samochód?

– Od nowego kolegi.

– Chcesz mi powiedzieć, że przyjąłeś kogoś do sekcji?

– Tak jest. Młody chłopak, zaraz po szkole. Chciałeś go z rana zastrzelić.

– I co, nie trafiłem?

– Skąd, przecież masz świetne oko. Zabiłeś go. Ale z człowieka był taki skurwiel, że rodzina podarowała nam jego samochód w geście podziękowania.

Kwiatek uśmiechnął się, doceniając poczucie humoru przełożonego, i wetknął kolejnego papierosa w szklaną lufkę.

Trzy minuty później zaparkowali na ulicy i weszli przez bramę pod willę oznaczoną numerem sto jeden. Na podjeździe stało czarne, lśniące bmw serii 7. Sam budynek też robił duże wrażenie. Widać było, że wcześniej był typowym, gierkowskim kłosem, ale teraz jakiś zręczny architekt przerobił go na perłę nowoczesnego budownictwa. Wszystko pachniało tu nowością. Elewacja, okna, a nawet równo przycięte bukszpany posadzone wzdłuż krawężnika.

– W książkach napisaliby, że dom dosłownie tonął w kwiatkach – wyszeptał Kastor.

– Zgadza się. Tylko bez „dosłownie”. Albo tonął, albo nie.

Budynek był obstawiony donicami różnych wielkości, a okolice eleganckich ścieżek pokryto rabatami. Wszędzie było pełno kwitnących kwiatów, które pachniały nawet ze znacznej odległości. Kastor nie znał się na roślinach, więc w swojej ignorancji rozpoznał jedynie róże i tulipany. Zlustrował za to dokładnie całe otoczenie, próbując wryć każdy jego element w pamięć. Był niemal przekonany, że małżonek zjawi się mocno podпиты za kilka godzin i zerwie kilka z rosnących tu kwiatów, aby oferować żonie przeprośny bukiet. Z drugiej strony nigdy nie wiadomo, być może właśnie rozpoczynał kolejną sprawę. Musiał pozostać czujny i profesjonalny. Jak zawsze.

Dosłownie sekundę po tym, jak użyli dzwonka, zostali zaproszeni przez około trzydziestoletnią kobietę do środka. Wyposażenie domu zwałało z nóg jeszcze bardziej niż zewnętrzne otoczenie. Niesamowite, pomyślał Kastor, zupełnie jakby niektórzy ludzie po prostu czekali w blokach startowych z furą

pieniędzy i po 1989 roku zaczęli kupować na potęgę. Olbrzymi telewizor, nowocześnie wyposażona kuchnia z mikrofalą i wiele innych gadżetów, które większość Polaków oglądała w amerykańskich serialach. Wyglądało na to, że niektórzy tak szybko się bogacili, jak inni biednieli.

– Proszę usiąść. Napiją się może panowie czegoś?

Komisarz zlustrował kobietę szybkim spojrzeniem. Była ubrana w luźną bluzkę na ramiączkach, obcisłe spodnie i klapy na obcasie. Nienaganny makijaż podkreślał dobitnie jej urodę, a bluzkę uszyto tak, aby każdy wiedział, że pod spodem kryje się wyrzeźbione ciało. Była przedmiotem. Ktokolwiek posiadał ten dom i stojący na podjeździe samochód, potraktował swoją partnerkę niczym następną rzecz w kolekcji człowieka sukcesu.

– Dziękujemy. Jesteśmy na służbie. – W ustach Kwiatka te słowa zabrzmiały wyjątkowo dziwnie.

– Bardzo panom dziękuję. Wiem, że macie swoje procedury – odezwała się gospodyni, gdy wszyscy usiedli. Zwracała się tylko i wyłącznie do elegancko ubranego sierżanta, z automatu ignorując dziwoląga w przydużej marynarce w kratę z szopą długich włosów na głowie. Najwyraźniej w jej świecie to właśnie wygląd świadczył o człowieku. Ciekawe, co byś powiedziała widząc Kwiatka nad ranem, pomyślał Kastor i z goryczą stwierdził, że taka małostkowość jednak nie przystoi dorosłemu mężczyźnie.

– Mąż zawsze, podkreślam to słowo trzy razy, wraca z pracy o dziesiętnastej. Jeśli coś mu wypadnie, dzwoni do mnie i uprzedza o tym. – Złożyła elegancko dłoń. Miała nienaganne paznokcie. Lakier w seledynowym kolorze z brokatową obwódką.

– A pani jest wtedy w domu? – spytał Kastor.

– Oczywiście. – Obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. – Ważne sprawunki na mieście, takie jak fryzjer, paznokcie czy zakupy, staram się załatwić do godziny piętnastej, a potem czekam na męża.

„Aż mnie zerznie w swej dobroci”, dopowiedział w myślach Kastor, a Kwiatek spytał:

– Próbowiała pani zadzwonić do męża? Ma w pracy telefon?

– I to kilka! – Kobieta prychnęła. – Mąż jest dyrektorem zatrudnionym w amerykańskiej firmie kosmetycznej. Budują teraz olbrzymią fabrykę pod Krakowem.

– Ma pani jakieś zdjęcie męża?

Gospodyni skinęła głową w odpowiedzi na pytanie sierżanta, wstała i przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. Po chwili wróciła, wręczając im fotografię starszego mężczyzny z czupryną siwych włosów zaczesanych na bok.

– W jakim wieku jest mąż? – wyrwało się Kastorowi.

– A co to ma do rzeczy? – kobieta wyraźnie się zaczerwieniła.

– Łatwiej będzie nam obdzwonić szpitala.

Kwiatek próbował załagodzić sytuację. Było jasne, że nikt nie będzie dzwonił po szpitalach, bo za wcześnie było mówić o jakimkolwiek zaginięciu.

– Sześćdziesiąt cztery. Zbigniew Gutowski.

– A pani...

– Jolanta Gutowska, jestem żoną. – Ostatnie słowo wypowiedziała w taki sposób, jakby to było jej największe życiowe osiągnięcie. Kastor szybko uznał, że tak właśnie jest.

– W poniedziałki kończy wcześniej pracę, gra z kolegami partię pokera, a potem je z nimi kolację w Wierzyńku.

Niesamowite! Kastor gotował się w środku z wściekłości. Czyli jest to dzień, w którym jej mąż ma wychodne, po prostu zasiedział się w knajpie, a ta głupia cipa wzywa policję. Zwalczył w sobie przemożną chęć wygarnięcia jej tego wszystkiego i zapytał:

– A przyszło pani do głowy, żeby zadzwonić do restauracji?

– Nie mam numeru.

– Wie pani, jest coś takiego jak książka telefoniczna... – zaczął Kastor, gdy poczuł jak Kwiatek kładzie mu delikatnym gestem rękę na ramieniu.

– Szanowna pani, sprawdzimy niezwłocznie wszelkie tro-
py – nawet opanowany sierżant omal nie wybuchnął śmiechem
przy tym słowie – i na pewno odezwiemy się jutro do pani. Miej-
my oczywiście nadzieję, że mąż wróci w międzyczasie do domu.

Kwiatek rzucił na odchodnym swój boski uśmiech i niemal
wypchnął swojego przełożonego na zewnątrz.

Zaparkowali nieopodal kościoła św. Anny i ruszyli na piechotę
w kierunku płyty, jak nazywali w policyjnym żargonie Rynek
Główny.

– Dlaczego? – odezwał się w końcu Kastor. Całą drogę
z Woli Justowskiej przesiedzieli w milczeniu.

– Bobyś zaraz wygarnął tej pańci, co o niej myślisz.

W oddechu Kwiatka wyraźnie czuć było świeży alkohol.
Niesamowicie, nie spuściłem go z oczu, a koleś i tak zdążył coś
chlapnąć w międzyczasie, pomyślał Kastor i powiedział:

– Może tak trzeba było zrobić. To jest jakieś zawracanie dupy.

– Narobiłbyś sobie tylko kłopotów. Widziałeś ten dom i sa-
mochód? No i żonę? Facet przyjdzie nawalony, a z rana usłyszysz
o niegrzecznym policjancie i będziesz bez roboty. Co, masz za
dużo forsy?

Komisarz milczał. Wszystko było można o nim powiedzieć,
tylko nie to, że jego sytuacja materialna była dobra.

Jak każdy policjant w tych czasach był w kompletnej dupie
finansowej. Weszli do Wierzynka i stanęli przy barze, zama-
wiając po setce czystej. Gdy tylko wypili, Kwiatek odszedł od
baru i zaczął jednego z kelnerów. W tej kategorii sierżant był
absolutnie bezkonkurencyjny. Kelnerzy tej jednej z najbardziej
luksusowych restauracji w Krakowie wyjątkowo zazdrośnie
strzegli prywatności i tajemnic swoich klientów. Komisarz ze
swoją wyciągniętą blachą od razu zostałby zbity wzruszeniem
ramion. Ale nie Kwiatek.

Kastor z oddali widział, jak tłumaczył coś kelnerowi, ge-
stykułując i wywołując uśmiech na twarzy tamtego. Bajerował

na całego, by w decydującym momencie wyciągnąć fotografię i zadać niewinne pytanie. Po kilku minutach Kwiatek wrócił do baru i gestem poprosił barmana, aby nalał im jeszcze kolejkę.

– Kelner robi tu od piętnastu lat. Nigdy nie widział faceta na oczy.

– Czyli żaden pokerek i kolacja, tylko jakieś kurwy.

– Po co? Widziałeś przecież jego żonę.

– Niektórzy wyznają zasadę „od przybytku głowa nie boli”.

Tak czy siak, na pewno tu nie przychodził. Wierzynek to nie miejsce dla kurew.

Kwiatek zgodził się z nim gestem, wypili wódkę i wyszli na zewnątrz. Kastor pożegnał się niepewnym uściskiem dłoni i ruszył w stronę samochodu, a sierżant poszedł w dół Grodzkiej. Komisarz wiedział, że będzie zaliczał kolejne knajpy, próbując niemożliwego, czyli dojścia do Wawelu. Nad ranem wda się w jakąś pijacką awanturę, a potem jeden z patroli przywiezie go na Mogiłską.

4

Musiał przyznać, że jazda tym samochodem to była czysta przyjemność. Benzynowy silnik nawet na wysokich obrotach pracował cicho, a skrzynia biegów działała bardzo płynnie i nie wymagała wiele wysiłku przy zmianie przełożeń. Zaparkował pod swoją kamienicą na Józefitów i siedział przez chwilę w aucie, rozmyślając nad gniewem, który wezbrał w nim podczas wizyty u atrakcyjnej żony statecznego dyrektora.

Co się ze mną dzieje? Czyżby to efekt potęgującego się niewyspania, pomyślał. Szybko odrzucił tę teorię, bo na chroniczną bezsenność cierpiał ponad trzydzieści lat i jako tako nauczył się z nią radzić. Po prostu coraz częściej czuł, że świat po przemianach dokonujących się w Polsce umykał mu i oddalał się od niego, a on sam miał wrażenie, że stoi w miejscu. Niektórzy bogacili

się w szybkim tempie, zakładali jakieś biznesy, a on ze swoją pensją czterech milionów złotych mógł co najwyżej pomarzyć o namiastkach luksusu. Wyjątkowo go to złościło, bo nigdy nie był materialistą i naprawdę kochał swoją policyjną robotę. Ale teraz, choćby patrząc na nowoczesną deskę rozdzielczą i elegancko podświetlone na czerwono zegary, czuł jakiś wewnętrzny żal, że prawdopodobnie nigdy nie będzie go stać na taki samochód. Wykonywał niezwykle potrzebną i przede wszystkim pożyteczną społecznie pracę. I wszyscy mieli to w dupie.

Wysiadł i zamknął audi, po czym wszedł do budynku i wdrapał się na drugie piętro. Po wejściu do mieszkania od razu przeszedł do dużego pokoju, gdzie jedną czwartą pomieszczenia zajmowała potężna klatka jego własnej konstrukcji. Od razu zauważył Zośkę, która wdrapała się po pręciakach i wysunęła pyszczek w jego stronę.

– Cześć, śliczna. A gdzie Jasna?

Kastor otworzył klatkę. Umaszczona na czarno Zosia szybko wyskoczyła na zewnątrz i zniknęła pod jednym z foteli. Komisarzowi żal było zwierzątek, bo przez cały dzień nie było go w domu, dlatego zbudował sam klatkę, dając szczurzycom jak najwięcej przestrzeni. Mimo wszystko nie chciał ich puszczać samopas po mieszkaniu, kiedy go tu nie było. Zawsze obwieszczał wszem wobec, że nie lubi zwierząt, a już tym bardziej trzymania ich w domu, ale te dwa gryzonie były wielkim marzeniem jego żony Karoliny. Ciekawe, ile jeszcze mogą pożyć, zastanowił się Kastor. Teoretycznie słyszał, że te hodowlane dożywają do dwóch lat, ale Zośka i Jasna miały już trzy i ciągle były w dość dobrej formie.

W końcu szczurzyca z jasnym futerkiem wyskoczyła z konstrukcji trapezów i mostków urządzonych w klatce i od razu wdrapała się na komisarza, siadając mu na ramieniu. Obydwa gryzonie bardzo różniły się charakterami. Zośka, ciemna z jasnym podbrzuszem, była awanturnicą i swoim zachowaniem bardziej przypominała dziką szczurzycę. Natomiast Jasna za

każdym razem musiała udowodnić, że prawdopodobnie jest arystokratką. Była oszczędna w ruchach, bardzo ciągnęło ją do komisarza i gdy tylko ten wrócił do domu, każdą chwilę spędzała przy nim.

Kastor przeszedł do kuchni i zaczął przyrządzać kolację. Ten nawyk pozostał mu z czasów, gdy przez pewien okres późne obfite posiłki powodowały, że był w stanie zdrzemnąć się w nocy trochę dłużej. Zagotował furę spaghetti, rozbił osiem jaj na patelni i podsmażył je razem z makaronem, na koniec posypując wszystko startym żółtym serem. Pomimo tej bomby kalorycznej spożywanej późną nocą komisarz pozostawał szczupły. Na jego figurę na pewno miały wpływ brak snu oraz to, że w ciągu dnia praktycznie nic nie jadł.

Wziął prysznic, klęcząc w ciasnej wannie wciśniętej w kąt niewielkiej łazienki. Założył piżamę, umył zęby i przeszedł do małego pokoju, choć określenie mikroskopijny byłoby tu o wiele bardziej na miejscu. W pomieszczeniu znajdowało się łóżko, niski stolik i zielony, po wycierany na podłokietnikach fotel. Na więcej mebli nie starczyło tu miejsca. Kastor dawno dał sobie spokój z próbami spania na leżącym, bo te prawie nigdy nie kończyły się powodzeniem. Kapa nakrywająca łóżko była nieruszana od tak długiego czasu, że zdążyła się pokryć grubą warstwą kurzu.

Komisarz umościł się wygodnie w fotelu, włączył nocną lampkę i położył notatnik z długopisem na stoliku, zaraz obok stopera. Od kiedy znalazł się w domu dziecka, zaczęły się jego kłopoty ze snem. Od tamtej pory śnił też każdej nocy bez wyjątku ten sam sen. Tydzień temu udał się do terapeuty, ostatniej deski ratunku w kwestii wyleczenia go z uciążliwej choroby. Psycholog doradził mu, aby zapisał to, co mu się śni, ze wszystkimi detalami, a może w ten sposób przypomni sobie, co takiego wydarzyło się, zanim trafił jako sierota do biduła. Kastor początkowo był sceptyczny, bo przecież sen ów znał na pamięć, ale w ostatnich dniach bezsenność nasiliła się tak

bardzo, że jego życie stało się niezwykle utrudnione. Siedział w fotelu dłuższą chwilę, gdzieś tam w kącie mignęła mu Zosia, a Jasna wdrapała się na jego kolano i zwinęła się w kłębek. Gdy tylko komisarz poczuł, że zapada w sen, ostatnim odruchem uruchomił stoper.

Jestem na polu, na placu zabaw. Jest zima i metalowe konstrukcje pokryte są śniegiem. W ostatnich dniach zrobiło się trochę cieplej i teraz widzę, jak topniejący śnieg skapuje powoli z gałęzi drzew, a krople rozświetla wyjątkowo ostre tego dnia słońce.

– Kasti, chodź ulepimy bałwana!

To Agata, moja opiekunka, woła do mnie tym swoim perlistym głosem, ma szeroki uśmiech i piękne blond włosy. Mam sześć lat i bardzo lubię się do niej przytulać. Wierzę, że kiedyś zostanie moją żoną. Oblizuję gile spod nosa, biegnę do niej i pomagam jej toczyć śnieżkę, która wkrótce potem zamienia się w coraz większą kulę. Cieszę się tym spacerem, świeżym powietrzem. Oczywiście dzisiaj zdaję sobie sprawę z tego, że zimą w Krakowie powietrze rzadko kiedy bywa naprawdę świeże. Ale wtedy o tym nie wiem. Za każdym razem mój sen jest mieszanką mnie dorosłego i mnie sześciolatniego.

Po ulepieniu bałwana idziemy do domu, zawsze przechodzimy obok rycerza na koniu. Ja wtedy mówię, że jak dorosnę, też będę rycerzem, a Agata moją królową. Na co ona z tym swoim wiecznym uśmiechem odpowiada, że na pewno tak będzie, i całuje mnie w oba policzki. Jestem dumny. I taki szczęśliwy. Teraz wiem, że nigdy już nie będę taki szczęśliwy.

Gdy podchodzimy pod naszą kamienicę, zauważam kremową warszawę z napisem MILICJA na drzwiach i kogutem na dachu. Teraz już wiem, że to bardzo zły omen, ale wtedy jedyne, na co zwróciłem uwagę, to piękne niebieskie światło skrzące się w promieniach słońca. Śniłem to tyle razy, że całość przypomina ulubiony film, który ogląda się po raz dziesiąty czy dwudziesty. Nie zwracam już uwagi na główną fabułę, a moje oko rejestruje coraz to nowe szczegóły drugiego i trzeciego planu.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca